

Korzeniowski, Wacław

Spod Połtawy do Teodozji, Warszawy i Brwinowa

Rocznik Mazowiecki 19, 273-284

2007

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wacław Korzeniowski

Spod Połtawy do Teodozji, Warszawy i Brwinowa

Warszawa, 20-ty lipca 1920 r. now. stylu. Schronisko, ulica Dzika 62. Mi-
nęło dziesięć miesięcy od dnia wyjazdu naszego z domu. Te 10 miesięcy
to cała wieczność, którą mógłby opisać któryś ze znamienitszych pisarzy, bo zwy-
kłym piórem nie jest możebnym chociażby mniej więcej opisać tych dziesięć ubie-
głych miesięcy, czyli dwa miesiące pierwszych w czas zimowy, od 6-go listopada
do 3-go stycznia, końmi i w towarowym wagonie z małymi dziećmi. Ofiarą tej
podróży, której nie mógł wytrwać był wnuk nasz, śliczne i drogie dziecko Zby-
szek¹. Zmarł i pogrzebion został na stacji Połogi, o jedną dobę jazdy do Czarnego
Morza i miasta Teodozji.

Przyjechaliśmy do Krymu, do dworca Teodoziji w wilję Bożego Narodzenia.
Smutna to była wilja i na równie smutny rok nowy, który spotkaliśmy w zim-
nym, ponurym wagonie, w zupełnie obcej stronie i między obcymi ludźmi. Zło-
żyliśmy po cichu życzenia sobie, czując boleść w duszy i łzy w oczach. Nie wiem
już jak innym z naszego grona, lecz mnie tak smutne i tak bolesne chwile w życiu
nie spotykały, pominąwszy 25 *Septembra* 1919 r. w Wepryku², kiedy byłem posta-
wiony na rozstrzał przez bandę zbójeczną.

Zaczęło się dalej trudne i ciężkie życie w chałupie bez sufitu, którą nie można
nazwać chałupą, ale coś w rodzaju lochu, którego o tyle o ile posiadał dach z pobi-
tej *czerepicy* i coś w rodzaju schylonego komina. Nawet takiego schronienia do-
stać było bardzo trudno za wielkie pieniądze. W każdym razie swobodniej wes-
tchnąłem po wyjściu z towarowagonowej *tiępluszki*, w której nie miałem nie tylko
gdzie się położyć, lecz sięść nie było dla mnie miejsca, bo trzeba było być zależ-
nym od osób mających swoje prawa i prerogatywy w tym wagonie. O Boże, le-
piej mnie będzie w grobie.

¹ Zbigniew Komocki, młodszy syn Stefanii (z domu Korzeniowska) i Witolda.

² Nazwa tej miejscowości mogła zostać błędnie odczytana.



Ryc. 1. Wacław Korzeniowski.

Otóż, zaczęło się dalsze na wpół głodne i chłodne życie w chałupie. Codzienne, systematyczne niedojadanie wpływało naturalnie na usposobienie nie tylko organizmu, ale i duszy. Z powodu drożyzny okropnej i braku pieniędzy trzeba było pożywiać się czymkolwiek i jakkolwiek. Do tego wszystkiego choroba Wandzi³ dopełniała harmonijną egzystencję. Chora na tyfus, cały czas leżała rzędem razem z nami, w sześć osób na jednych *narach* z desek wysłanych, mających miejsce tylko na cztery osoby, a do wyjazdu Stefy⁴ było nas osiem osób. Obawa o jej życie i zarażenie się nas wszystkich było okropnym ugniatającym uczuciem.

³ Wanda Korzeniowska, z domu Noakowska, żona Bohdana i synowa autora.

⁴ Stefania Komocka, z domu Korzeniowska (1891–1968), najstarsza córka autora.

Ale Bóg łaskaw. Po wyzdrowieniu Wandzi parę tygodni czuliśmy się o wiele lepiej naturalnie, bo znalazł się dobry człowiek, który dał zajęcie Marusi,⁵ Wandzi i Karoli⁶, i obficie zapłacił im. W ogóle pomógł nam pieniądze. Bóg zapłać jemu – to Leon Tetich z Krakowa.

Ceny w Teodozji bajeczne. Pomimo tego, że pieniądze tam prawie nic nie znaczyły, równały się trzaskom w drewnie. Nie leżały jednak na ziemi, żeby można było je zbierać, a trzeba było zapracować. Otóż, robotnik na przystani morskiej zarabiał do 8 tysięcy rubli w dzień, a nawet tylko od 8-ej rano do 5-ej wieczór. Człowiek z koniem zarabiał 15 tysięcy, ale ja nic zarobić nie mogłem, bo było dosyć robotników portowych i siły moje fizyczne były nieodpowiednie. Nosilem tylko drwa dla swego mieszkania na plecach o 3-4 wiorsty i *pokupki* z rynku także daleko. Rąbałem drwa tępą siekierą, bo naostrzenie siekiery kosztowało 200 rubli najmniej. Na rynek z tysiącem nie warto było chodzić, bo co za tysiąc rubli kupić. Jeden funt słoniny 1800 rubli i do 2200. Tu funt masła 3000 rubli, funt oleju z marnego lnianego siemienia 700 rubli, funt chleba czarnego niesianego 60 rubli. Ryba była tylko duża morska po 400 rubli funt i drobna, „byczki”, od 50-ciu do 150 rubli funt. Mleko w maju było po 150 rubli kwarta, a już od 1 czerwca po 500 rubli kwarta, a nawet dochodzi do 600 rubli za kwartę, jaja od 800 rubli za dziesiątek do 1200 rubli, jedno jajko kurze średnio kosztowało 100 rubli, mięso wołowe 80 rubli funt, a szwinina 100 rubli i dochodziła do 200 rubli za funt, cielęcina 600 rubli funt. Więc jak można było egzystować nie mając zapasu ruskich pieniędzy, które tam były drogie, bo za storublowe płacili po tysiąc krymskich pieniędzy, ale ich niestety nie było u nas. Ukraińskie 50-rublowe chodziły na równi z krymskimi, ani grosza drożej. Kierenki 40- i 20-rublowe chodziły za sto kierenek 120 rubli krymskich, czyli dońskich, dumka raska tysięczna kosztowała od 3-ch do 5-ciu tysięcy krymskich. Zależało od tego, na ile była cała i nowa, a stare z dziurkami, pomięte, zupełnie nie miały żadnej ceny.

Pominałem ważny punkt drogi naszej i wróć ze wspomnieniami trochę nazad. Jadąc z Łozowej i Nikitowki, gdzie ukradli cały tłumok najważniejszych rzeczy Wandzi i Bohdana⁷, pojechaliśmy do Marjewki, gdzie mieszkali Korsaccy⁸, to jest miła, żeby choć trochę u nich wypocząć i zasięgnąć rady dokąd jechać i gdzie pozostawać. Było nas wprawdzie siedem osób z dziećmi. Najazd był swego rodzaju dla gospodarzy fatygujący i kosztowny, ale w takich warunkach trzeba pomóc i ratować nie tylko krewnych, lecz każdego bliźniego. Zastaliśmy gospodarzy domu, o ile można było uważać w kwaśnych humorach, chociaż nakarmili i napoiili. Bóg im zapłać. I w domu przytułek dali. Zimno u nich było okropnie. Dom na zimę był źle opatrzony i Zbyszek zaziębił się nie w drodze, a w tym właśnie zimnym domu. Korsaccy sami byli już na wyjeździe, bo niebezpieczeństwo groziło już blisko. Otóż po ośmiu dniach pobytu wyjechaliśmy razem z nimi, początkowo nic nie wiedząc, gdzie jedziemy, a ponieważ ten wagon szedł do Teodozji z ewakuowanymi, więc i my jechaliśmy tam, gdzie wiózł ten wagon.

⁵ Maria Kühmayer, z domu Korzeniowska (1891–1969), druga córka autora.

⁶ Karolina Korzeniowska (1899–1982), najmłodsza córka autora.

⁷ Bohdan Korzeniowski (1893–1967), najstarszy syn autora i mąż Wandy.

⁸ Rodzina ze strony Marii Korzeniowskiej, z domu Sawicka (1865–1943), żona autora.

W taki sposób trafiliśmy do Krymu, pozostając otoczonymi z trzech stron morzem i z czwartej strony frontem wojny. W styczniu była już zupełnie stracona nadzieja ocalenia się od zajęcia Teodozji straszonym wrogiem, bo siły na ten czas dobrowolnej armii były tam zupełnie słabe i tylko zawdzięczając energicznemu dowództwom generała Słuszczowa i pułkom Konstantinowców następowanie było wstrzymane do czasu kilku dni, kiedy się zaczęła odwilż i lód zaczął topnieć na Czegierskim Kanale. I tak Krym został niezajęty do czasu naszego wyjazdu, to jest do czerwca.

Wyjechaliśmy parostatkiem Borys 3-go czerwca. Jechaliśmy przez całe Czarne Morze, dwie doby pozostając między niebem i morzem, a kiedy zobaczyliśmy daleko na horyzoncie drzewa, wszyscy sięgali wzrokiem z wysokich pokładów parostatku, żeby zobaczyć coś ziemnego, tak byliśmy stęsknieni za ziemią. Coraz wyraźniej rysowały się drzewa i miasto Solina w Rumunji. Przebyliśmy na parostatku dobę w Solinie i wyjechaliśmy po Dunaju do miasta Galaco. Cała droga morzem w przeciągu dwóch dób. Pogoda była cicha. Parostatek szedł prędko i równo, tak że nikt nie doznał morskiej choroby. W drugi dzień po przyjeździe naszym do Soliny była okropna burza, do takiego stopnia, że parostatki większe od naszego były przygotowane do nieszczęścia. My w tym huraganie staliśmy spokojnie na brzegu morza i dziękowaliśmy Bogu za szczęśliwy przejazd.

Dalej po Dunaju jechaliśmy z całą przyjemnością. Śliczne leśne brzegi szerokiego Dunaju ciągnęły się aż do Galacu, gdzie wysiedliśmy z parostatku i poszliśmy do wagonów kolei. Dalej ruszyliśmy w drogę pociągiem przez Romunję i Galicję w stronę Wołynia, projektując jechać do Dubna, znaleźć tam Lombardów⁹ i czekać w najętej chałupie tego czasu, kiedy będzie możliwość przez Kijów wrócić do domu. Jechaliśmy towarowym wagonem jako ewakuowani bezpłatnie. Powieźli nas ze Lwowa przez Kowel. Otóż w Kowlu już było wiadomo, że Dubno jest zagrożone przez bolszewików, a Kowel też w niewyraźnej sytuacji. Pozostało zawrócić do Brześcia. Przemieszkaliśmy w Brześciu tydzień, szukaliśmy Stefy, Witia¹⁰ i Tosia¹¹. *Poiski* były bezskuteczne, lecz wiedząc adres Jana Korsaka¹², Marusia napisała do niego i w tydzień otrzymaliśmy odpowiedź, że Stefa w Wilnie. List Korsaka był otrzymany już w Warszawie, ponieważ w Brześciu zaczęło już być niespokojnie i wyjechaliśmy do Warszawy.

Łatwo to powiedzieć i napisać, lecz w rzeczywistości opowiedzieć czy opisać te wszystkie przyjazdy i wyjazdy to bardzo trudno. Z nami było 18 pudów¹³ rzeczy i wszędzie tłum ludzi, uciekinierzy z Żytomierza, Kijowa, Winnicy, Dubna, Grodna. Coś okropnego, a zatem całe Wilno. Na drugi dzień po przyjeździe naszym do Warszawy Wilno było zajęte przez bolszewików. Stefa także uciekła do Warszawy, a mąż jej i nasz Witio byli wysłani do Kowla. Obydwaj służyli wojskowo w *automobilnej rocie*. Przyjazd nasz z Brześcia na Dworzec Warszawski, to było

⁹ Seweryna (z domu Sawicka) i Franciszek Lombardo, rodzina Marii Korzeniowskiej.

¹⁰ Witold Korzeniowski (1895–1976), drugi syn autora.

¹¹ Antoni Korzeniowski (1897–1989), najmłodszy syn autora.

¹² Mąż bratanicy Marii Korzeniowskiej.

¹³ Jeden pud = 16,38 kg.

najokropniejsze. W całym znaczeniu tego krytycznego położenia pozostaliśmy między niebem a ziemią, lecz do nieba wysoko, a na ziemi nie było nam miejsca ani rzeczy położyć, ani samym gdzie przysiąść.

Był to już późny wieczór, *zajawili* nam stanowczo, że nocować na dworcu nie wolno i żebyśmy zaraz zabierali rzeczy i wynosili się z sali. Ton urzędników, jaki by to nie był urząd, jak na dworcach kolejowych, tak i w innych wydziałach, nie odznaczał się grzecznością. Nie warto o tym mówić, co nam pozostawało, że *podjazda* dworca i na placu przed dworcem do takiego stopnia zaludniono tłumem ludzi, dorożkarzy, automobilami i tramwajami, że przechód był trudny. Pomimo tego, że byliśmy uprzedzeni jadąc do Warszawy, a także i na Dworcu Warszawskim przez tego samego, którego kazał wynosić się razem z rzeczami, że daremnie będziemy szukać jakiego by nie bądź pomieszczenia w mieście, bo nie znajdziemy, Marusia z Karolą poszły na *poiski* i naturalnie wróciły z niczym. Przenocowaliśmy będąc bardzo zmęczonymi, siedząc na rzeczach pod ścianą ganku podjazdowego, a rano pozwolono przejść do 3-ciej klasy i pozostawać tam w nieopowiedzianym tłoku ludności, a głównie Żydów.

Dusili nas formalnie. My zupełnie nieświadomi, lecz sędzę, że obowiązkiem tych, co wyrzucali nas na bruk, było powiedzieć, że w takim to miejscu są baraki i schroniska dla uchodźców, żebyśmy tam szukali, ale nikt nic ani słowa. Niech ludzie giną, aby im było dobrze. W rzeczywistości taka to jest charakterystyka ludzi, ale są także słowa ludzkość i człowieczeństwo. Lecz to są słowa.

Na drugi dzień Marusia *wydarzeniem* dowiedziała się o tych barakach i zaraz zabrali nas na Powązki, do baraków. Stosunkowo było tam dobrze. Ogólne *nary*, pomieszczenie duże, dają ½ funta białego chleba i *krujonik*, dajmy na to marny, ale głodny jeść może. Zawsze jest *kipiatok*, czyli nawet z herbatą, to bardzo ważne, a także *kooperatiw*, gdzie uchodźcy mogą o wiele taniej kupować spożywcze produkty. W porównaniu z Brzeskim Dworcem to był raj dla nas, a tylko naturalny tłum ludzi, szum i niezupełna czystość. Wpływało to na moje stare nerwy.

Zatem przeprowadzili nas do drugiego baraku, nr 4. Pakowanie i noszenie rzeczy męczyło wszystkich, a głównie mnie, bo ja sam wszystko musiałem sznurować i worki napychać. Przemieszkaliśmy w tym nr 4 tydzień, a nawet tylko 5 dni, i znowu napychać wory, i sznurować, a także taskać. Przyjechaliśmy już do miasta na Dziką ulicę 62, do schroniska dla uchodźców. Tu było o wiele porządniej. Łóżka z nowymi siennikami i słomianymi czystymi poduszkami, a także nowe zupełnie prześcieradło i ręcznik. Bielizna tu była całkowicie w wielkiej ilości, otrzymana z Ameryki. Każdej osobie to było wydane. Stały duże dębowe stoły czysto utrzymane, sala dla mężczyzn oddzielnie, a dla kobiet oddzielnie. W dzień można było być razem. Była słodka herbata z sacharyną, bo cukru zupełnie w Warszawie nie było, a jeżeli i można było kupić to po 150 rubli funt. Chleba białego tu nie dawali, a wydawali obiadowe kartki, po których otrzymywaliśmy obiady z dwóch potraw. Obiady, co się nazywają tak sobie. Człowiek z przyjemnością zjadłby drugi obiad za godzinę i trzeba było jeździć tramwajem na ten obiad, co kosztowało 6 rubli, czyli polskich marek. W każdym razie obiady te i herbata to wiele stanowiły dla tych, u kogo nie było tych marek w kieszeni. Za te schroniska i baraki wszyscy powinni być bardzo wdzięczni Warszawie.

Warszawa 20 ty lipca 1920 r. now. styl.
Schronisko, ulica Długa 462.

Minęło dzień i wieższy od dnia wyjazdu naszego do domu, a 10. wieższy od wata wieższé, którzyśmy byli w opisie których i znamienitrych pisarzy to zupełnie piórné i jest moźednym choć nie są miły wieższy opisy tych dzieł i ubietych miłoścy, aże dwa miłoścy pisarzy wczoraj zimoweli od 6^{ty} listopada do 3^{ty} stycznia konnie i w podobnym wagonie zmatemi dziećmi opiaraj tej podniej której niemożemy wyobrazić, był wron nasz śladu i drogi dzieło dbyżek i maści, pająk biony na stacji Polacy o jedny doły jazdy do ostatniego moze miasta Siedoriji, jacy, i chaliśmy do tymu Dworca Siedoriji, miłja Polacy narodzenia smutna to była wółja i na niewnie smutny rok nowy, który spotnal, omy w zimnym ponurym wagonie wrzutnie obcy stonie i niży obelmi ludmi, którzyśmy poe ich iżelania sobie, aże w bósi w duszy i Fey w oczach, niewiem, już jak innym wazimie gona, lecz mié tak smutna i tak bolesna chwili wycie nie spotykaj, pomimo 12^{ty} 25. Sektbra 1919 r. w Włporysi, kiedy bytem jaosta wionym na rozstret pórak bandy zbujscenaj. Zaczęto i daly trudne i wistkie iżie w chatopie bar wifitu, który niemożna narwać i chatopaj, a co w wadraj lochu która o była o ile poriodat dach z probitaj czerzej i sedykonużo co w wadraj komina, lecz, potrzebaj schronienia dostai było bardzo trudno za niewielkie pionizdre. — Zokardym narie swobodniej woztakrntem po wyjściu z tej łowierowawozonowej kizotuziti, wstodaj niemiatem nie tylko idzie się potwój, lecz się je nie było dżemnie miejscu, bo trzeba było za- liżie od osób mających swoje prawa i prerogatywy na tym wzrozie o które si- piej mié być w góbie. — ofost

Ryc. 2. Fragment listu.

W tym schronisku przemieszkaliliśmy także tydzień. Właściwie to były czaso- we schroniska, nie więcej niż dwa tygodnie. Na nasze szczęście otrzymaliśmy list od Jana Korsaka, w którym powiadamia, że Stefa, ewakuowana z Wilna, obecnie mieszka razem z Komockimi za Warszawą, w letniskach w Brwinowie. To 40 minut jazdy koleją z Warszawy i pociągi chodzą co dwie godziny.

Marusia zaraz pojechała i wróciła do nas razem ze Stefą i Kaziem¹⁴, a Tosio, będąc w Warszawie, komenderowany z Radomia, dowiedział się, że my jesteśmy na Dzikiej 62. Więc zaraz przyjechał do nas. My cały miesiąc szukając kogokolwiek z dzieci, czując się już tak bardzo smutni moralnie i materialnie, a po przeżyciu tak wiele od czasu rozstania się z nimi, przy spotkaniu się z Tosiem i wcześniej przyjazdu Stefy tak byliśmy wzruszeni, że łyzy nie pozwalały słowa przemówić. Wkrótce nadjechała Stefa, wstąpiła w nas jakaś otucha, że coś się zmieni w tym bezdomowym, tułaczym i półgłodnym życiu. A wiadomości coraz gorsze i gorsze.

Na drugi dzień wyjechaliśmy do Brwinowa. Znowu pakowanie i obwiązywanie rzeczy, noszenie na tury i pakowanie do wagonu. Przed wieczorem byliśmy na miejscu w najętym przez Stefę mieszkaniu, w ślicznej miejscowości, wśród drzew i *fruktowych* ogrodów. Mieliśmy prawo korzystać z powietrza i widoku ładnej przyrody. U Stefy były pieniądze, więc pojawiły się spożywcze rozmaite *produkta*, wóz drewna za 400 rubli. Nie ma tu już tego tłumu żydowskiego, szumu, gwaru, od którego całe życie uciekałem. Westchnęliśmy tu całą pierśią, która była przygnieciona i zboliała, ale czy to na długo, żeby odpocząć choć trochę, bo wiadomości co dnia to sroższe i czuje się znowu zbliżenie tego poranka, że trzeba brać się za pakowanie i sznurowanie rzeczy, a najważniejsze to pytanie, dokąd teraz jechać, bo dalej naprzód chyba do Francji albo Niemiec, ale uchodźców tam nie przepuszczają. Cóż pozostaje, nic więcej jak po dziesięciomiesięcznym uciekinierstwie pozostawać w ręku tych dzikich sprawców. Lepiej było nie przeżywać tych nad siły trudnych miesięcy i ufając w Boga pozostać w domu. Lecz już się tak stało, tak widać i być powinno, bo przez cały czas naszego tułaczego życia sam Bóg nas prowadził i pomagał, jeżeli tylko zastanowić się nad tym wszystkim, co nas spotykało. Wyjechaliśmy z domu z tak małym zapasem pieniędzy, że tylko przy najskromniejszym życiu i płatnej jazdy kolejną nie byłibyśmy w możności dojechać do Krymu, czyli Teodozji, tylko zawdzięczając temu, że nas wzięli z Połtawy, a także z Marjewki do towarowych wagonów jadących po ewakuacji urzędników rozmaitych wydziałów do Nikitowki za pośrednictwem Bohdana i Witia, a z Marjewki od Korsaka za jego propozycją i kolejowców jadących z Kurska do Teodozji. Jazda była bardzo trudna, a tylko zawdzięczając jednemu energicznemu z kolejowców, jadącemu z nami, i smarowaniem storublowymi, zaczepiali nasz wagon do idących pociągów w stronę Krymu. Jechaliśmy tak dwa miesiące z dużymi przestankami. Zima, mróz i wiatry dotykały nas i wszędzie chorych na tyfus bez liku. Był przyjęty i do naszego wagonu jeden tyfusowy. Całe te dwa miesiące nie zdejmowaliśmy z siebie ubrania. To już jedna z wielkich ostateczności.

W Teodozji zastaliśmy w największym stopniu epidemję tyfusu, a nawet cholery. Chałupa, w której mieszkaliśmy, była *okryżona* chorymi i umarłymi. Czyż to nie Opatrzność Boska, a przy tym systematyczne niedojadanie, bo mleka kwarta 400 rubli a mięsa funt 700, więc gotowały się na wodzie jakieś *kruponiki* i zacierki,

¹⁴ Kazimierz Komocki (1916–1999), starszy syn Stefanii i Witolda.

po których naturalnie nigdy człowiek nie był syty, a głównie to, że nie było kartofli, do których bardzo byliśmy utęsknieni. Wspominaliśmy Głęboki¹⁵, gdzie były narzekania, że wujenka Konstancja¹⁶ samymi kartoflami karmi. Kiedy opisywałem *miatle kartosz*, że po środku półmiska jeziorko nalewało się ze smażonej słoniny, to Mama i Karola ślinkę połykały, a u mnie samego ciekła jak z wyżła. Daj Bóg wrócić kiedy do tych *miętych* kartofli ze słoniną.

Dziś zawdzięczając Stefie i Tosiowi mamy kartofle w Brwinowie, lecz kto to wie, może jutro czy pojutrze trzeba będzie i brwinowskiego kartofla porzucić, bo źle jest z nami. Słysząc już huk armatni i znowu staje przed oczyma ten duży znak zapytania, dokąd jechać? Już dalej nie ma ucieczki. Pozostał jeszcze Kraków i Poznań, ale już tam tak pełno ludności, tylu uchodźców, że tylko nas tam brakuje, ażeby jeszcze dopełnić kielich tego nieszczęścia ciasnoty i głodu.

Niedaleko od nas miasto Częstochowa i tam Matka Boska Obronicielka. Tylko uciekam pod Jej obronę, z tymi samymi świętymi słowami na ustach. W moim przekonaniu to jedyna ucieczka, jedyna ochrona i szczęśliwy jestem, że przez tyle czasu zbliżyliśmy do miejsca Obrazu, u stóp którego znajdziemy obronę i ratunek.

Dziś jest 7-my sierpnia. Niespodziewanie przyjechał do nas Tosio, pocieszał nas i upewniał, że Warszawa nie będzie oddana i że wyjeżdżać nam z Brwinowa nie należy. Te same nadzieje były, kiedy wyjeżdżaliśmy z domu, że za parę tygodni, za miesiąc wrócimy nazad, a jednak nadzieja zawiodła tak bardzo, bo już rok prędko minie, a jeszcze Bóg wie, czy za rok kto doczeka wrócić pod swój dach, bo szerzy się tyle nieszczęścia coraz więcej i zajmuje coraz szersze obszary. Mamy nadzieję, że Polska prędko oczyści to plugastwo, a Ukraina tak ginie, jak zginęła Rosja. Żal mi Ukrainy, kraj taki bogaty i ładny, zdeptany brutalskimi i dziko przestępnymi nogami. Wszystko to kiedyś z latami może się odnowić i odrodzić, lecz ofiary w lepszych ludziach, których dziesiątki tysięcy pokrywa bezpowrotna mogiła, pozostanie tylko światła pamięć po nich.

10-ty sierpnia. Kompletnie nie można przewidzieć, co będzie jutro. Każde jutro nie jest wiadome dla człowieka, tak jest świat urządony i inaczej być nie może, ale w tym tak bardzo niezwykłym czasie to człowiek wymaga to, co jest niemożliwe. Właściwie to sprawia, że nerwy tak są rozluźnione i naprężony jest umysł, a nawet wzrok i słuch człowieka, że stał się jakby nienormalnym. Codziennie oczekuje się wiadomości z Warszawy, lecz niestety codzienne wieczory spędza się w rozmyślaniach i w debatach dokąd jechać, z czym jechać.

Dziś 11-ty i podług powiadomień angielskich powinno być dziś czasowe zawieszenie broni, lecz coś to zawieszenie wydaje się być chwiejnym i niezupełnie zrozumiałym, a przy tym ten wróg ohydny jest już dziś o 30 tylko wiorst od Warszawy. Dajmy na to, że nie tak łatwo Warszawa wpuści ich na próg stolicy, prawdopodobnie wcale nie wpuści, ale człowiek strzela, a Bóg kule nosi. W każdym

¹⁵ Majątek na Ukrainie, z którego Korzeniowscy uciekli w 1919 r.

¹⁶ Bratowa Marii Korzeniowskiej.

razie ogólna sytuacja jest taka, przy której człowiek spokojnie nie zaśnie, a budzi się też z pewnym podnieceniem niespokojnego ducha. A pytanie ciągle błąka się w myślach, kiedy wrócimy do domu. Odpowiedź niestety ukrywa się gdzieś za dalekim horyzontem, a tylko coś szepcze te słowa: nie prędko. A mnie staremu to jeszcze gorzej, bo może nigdy.

Nadchodzi wieczór. O 8-ej przyjeżdża Marusia z Warszawy i zawiadamia, że jutro o 5-ej rano powinniśmy być z rzeczami na stacji i wyjechać do Warszawy, a zatem razem z całym biurem, w którym ona służy wyjeżdżać przez Częstochowę, Kraków do Ojcowa. Dnia tego byliśmy wszyscy zmęczeni. Mama gotowała obiad dla wszystkich bez pomocy, bo Karola chodzi tu kupować produktu rozmaite. To prawie dzień cały chodzenia. Stefa jeździła już trzeci dzień pod rząd do Warszawy po swoją prowizję, czyli, jak tu nazywają, deputat. Marusia w Warszawie na zajęciu, a ja po narąbaniu drewna wyszedłem poszukiwać zarobku do sąsiedniego majątku, tak że na całonocne pakowanie wcale usposobienia nie było i sami na ręcznych taczkach odwozić na stację kolei, i to na piątą rano.

Ledwośmy do 5-ej zdążyli pakowanie, zaszywanie i sznurowanie. Pociągnęliśmy 13 pak ciężkich na stację. O 8-ej byliśmy w Warszawie w Wiedeńskim Dworcu. Ręczny bagaż poderwał mnie ręce i nogi, nosząc z miejsca na miejsce, a za resztę bagażu trzeba było zapłacić 500 rubli za przewiezienie o kilkadziesiąt kroków do biura.

O 3-ej rano wyjechaliśmy z Warszawy. Otóż po niespanej nocy, wciąż pracując fizycznie, trzeba było wysiedzieć na twardych ławach od rana do wyjazdu między tłumem ludzi, który kompletnie dusił. Po wyjeździe pociągiem znowu niespana druga noc, bo ledwo siedzieć jakkolwiek można było. Znużenie ostateczne. Jak mogły wytrzymać siły Mamy, to podziwiać trzeba. Jechaliśmy towarowym pociągiem dwie, a nawet prawie trzy doby do Krakowa. Noce także były niespane, a tylko siedzieć z opartą głową o ścianę wagonu lub z pochyloną do ziemi. Zatem jeszcze po wysiedzeniu dwóch dób w wagonie wyruszyliśmy końmi do Ojcowa o dwadzieścia parę wiorst odległości. Pomimo tak niedalekiej drogi jechaliśmy pięć godzin krokiem z przystankami. Pierwszych kilka wiorst droga była równa, doskonała, ale dalej do samego Ojcowa kamieniste *wądoty*. Zaprzężonych dobrych parę koni było bardzo niedostatecznie, bo fura umieszczała kilkanaście ciężkich kufrów i rozmaitych pak, na których siedziało dwanaście osób, tak że większą połowę drogi całe to towarzysztwo szło piechotą. Jechała tylko jedna Mama i mały Kazio. Przed samym wieczorem stanęliśmy w Ojcowie. Przyjechało nas ewakuowanych kilka takich fur. Wszyscy rzucili się w odszukaniu mieszkania. Nam się udało zaraz zająć mniej więcej dobre mieszkanie, bo dwa pokoiki i do tego kuchenna *plitka*, co nam stanowiło najważniejszą rzecz.

Ojców, znany w historii polskiej właściwie jako letnisko dla przyjeżdżających na lato w celu leczenia się zdrowym powietrzem, a także spędzić lato w nadzwyczaj malowniczej miejscowości, otoczonej ze wszystkich stron ogromnymi górami, na których wznosi się śliczny, obfity las, przeważnie jodłowy i sosnowy, tak dobrze wpływający smolistym powietrzem na zdrowie cierpiących piersiowo. Góry od strony mieszkań Ojcowa przedstawiają równoległe skały. Nadzwyczaj

wysoko ponad górami, zupełnie równe ich ściany białego koloru robią wrażenie jakby to był marmur prawdziwy, wyciosany ręką ludzką, a w rzeczywistości cała ta architektura skał, jakby gmachów kilkopiętrowych wybudowały wieki. Bardzo jest podziwiałym, że na samym szczycie tych skał rosną wiekowe sosny i jodły, więc pytanie, skąd te drzewa mogą mieć soki żywności, kiedy na powierzchni skał ziemi zupełnie nie ma, a tylko ciężka warstwa mchu i szczeliny, w które drzewa wypuszczają swoje korzenie. Jest to prawdziwa panorama przyrody, silniejsza od rąk i mądrości ludzkiej.

Przez Ojców płyną dwa strumienie i ciągle słyszy się szybki szmer wody. Zimą, z przyczyny wielkiego prądu, woda nie zamarza. Strumienie te wyciekają ze skał i woda jest zawsze bardzo zimna, z powodu czego kąpieli rzecznej w Ojcowie nie ma, a tylko wanny specjalnie urządzone. W późnej jesieni i w zimie pozostają tu tylko miejscowi mieszkańcy, ponieważ czas ten w Ojcowie bardzo nieprzyjemny z powodu wilgoci i zimna.

Już dwa tygodnie pozostajemy tu między skałami i sosnowymi lasami, lecz nie na letnisko tuśmy przyjechali, a burza czasu, czyli nabiegi band bolszewickich, zaniósł nas w tę stronę, na którą wiatr odpowiedni powiał. Więc nie używamy tu odpoczynków, spacerów i temu podobnych rozrywek, a pracujemy wszyscy, Marusia w biurze ewakuowanym z Warszawy, Stefa i Mama gotują na 13 osób, ponieważ stołujemy 7 stołowników, Karola ciągle zajęta praniem, noszeniem wody, nastawieniem samowarów i pomaga mnie nosić drwa z lasu, a także piłować. Kupiłem kilka drzew stojących na pniu, a więc roboty z tym drzewem bardzo dużo i nielekkko.

Dziś już 3-ci *Septembra*. Projektują w tym miesiącu wyjechać z Ojcowia do Warszawy, a my także musimy wyruszyć z zarządem, ponieważ jedziemy na ich koszt z powodu służby Marusi, a to stanowi półtora tysiąca marek polskich. Wszyscy oni jadą do Warszawy na swoje pozostawione mieszkania, a my dokąd pojedziemy? Nam trzeba pozostawać gdzieś w głuchej prowincji, gdzie by można było taniej przeżyć, bo Warszawa wcale nie dla nas. Mamy więc zamiar pozostać znowu w Brwinowie, lecz z rzeczami jest wielki kłopot i koszt osobisty, bo rzeczy muszą być odesłane do Warszawy razem w ogólnym transporcie. Nic poradzić na to nie można. Trzeba będzie wieść nazad z Warszawy do Brwinowa, a głównie szukać zimowego mieszkania. Tymczasem znowu pakowanie, obszywanie i sznurowanie rzeczy, a zatem noszenie i wożenie na taczkach. Do tej pory dawało się radę we wszystkim, bo mniej więcej trzymało się zdrowie, a teraz już gorzej. Zachorowałem na nogę i ból nie pozwala chodzić, a tym bardziej pracować fizycznie. Drwa codzień potrzeba, a pakowanie rzeczy to gorsza robota od drev. Pogoda okropna. Codzień deszcz, wilgoć okropna, co gorzej wpływa na zdrowie. Mama także trzy dni przeleżała w łóżku. Marusia cierpi na ból zębów. Stefa uskarża się na głowę, tak że przy takich koczących warunkach przede wszystkim zdrowie, i mimo woli znowu to pytanie w myśli, kiedy do domu wrócimy, kiedy pod swoim dachem rozpakujemy te poniszczone rzeczy i nie będziemy myśleć, że za kilka dni znowu trzeba je pakować i gdzieś szukać schronienia.

Za dni kilka mamy wyjechać, a dokąd, nie wiemy, do Warszawy czy do Brwinowa, bo Marusia teraz jeździć z Warszawy nie będzie mogła, a być może, że i Stefa otrzyma posadę w Warszawie. Z drugiej strony w Warszawie albo zupełnie miesz-

kania wynająć nie można, albo za dużą cenę. W ogóle teraz życie w Warszawie to tylko dla ludzi mających gotówkę.

Dziś piątek. Stanowczo wyjeżdżamy z Ojcowa we wtorek rano. Dziś jeszcze odbywają się wycieczki w skały dla zwiedzenia groty Łokietka i innych podziemnych tuneli znajdujących się w ogromnych skalistych górach. Grota nazywająca się Łokietka jest to ogromne podziemie wielkości dużych salonów z rozmaitymi bocznymi schodami, w których za czasów onych chronił się panujący Łokietek z wojskiem od napadów nieprzyjacielskich, a głównie kiedy Czechy za panowania króla Wacława zdobywały Polskę. Groty te w górach, o ile widać, nie są dziełem rąk ludzkich, a tysiące lat sformowały dziś dziwne i niepojęte widowisko. W grotach tych zupełnie jest ciemno, tak że zwiedzający oświetwiają je niosąc zapalone świece. W niektórych miejscach wytryska czysta, zimna woda i płynie strumieniem, a wokół las i gęste dzikie zarośla. Ze szczytów tych skał śliczny widok otaczających okolic. Pomimo tego, że tu tak ładnie, poetycznie i malowniczo, każdy radby co chwila wyjechać w swoje strony i pod sklepienia swego nieba.

Wszyscy oprócz nas wiedzą, że za dni parę będą w tej Warszawie, do której pragną wrócić, a my tu jedni skazani na kompletną niewiadomość, kiedy wrócimy. Pozostaje nam tylko dalej marzyć o tej błogiej przyszłości.

15-go wyjechaliśmy z Ojcowa. Na zdrowiu czułem się bardzo niedobrze. Noga coraz więcej bolała, a w pół drogi między Krakowem a Warszawą wezwaliśmy do wagonu doktora, bo ból był okropny i przez dwie noce ani minuty zasnąć nie mogłem, przy czym noga zaczęła bardzo puchnąć. Leżenie na tej drewnianej ławce przy targaniu i stukaniu pociągu dopełniało tę całą sytuację cierpienia.

Postscriptum

W 2004 r., po śmierci mojej mamy¹⁷ i piętnaście lat od śmierci ojca, przy segregowaniu papierów rodzinnych, znalazłam powyższe wspomnienia, o istnieniu których nikt w rodzinie nie wiedział. Wspomnienia nawiązujące do 1919/1920 r., zapisane w „ogólnym” zeszycie przywiezionym z Ukrainy, w którym były też listy zakupów i wydatków z tego okresu. Tylko tyle, nic więcej. Narracja urywa się.

Z bardzo skąpych relacji ojca sprzed wielu lat wiem, że dziadek, Wacław Korzeniowski (1860–1922), zmarł niemal „na własne życzenie”. Chociaż nikt nie wie, co dokładnie było przyczyną choroby, zapamiętano, że zachorował „na nogę”, wdała się gangrena, lekarze chcieli amputować, ale pacjent kategorycznie odmówił zgody na taką operację. Twierdził, że nie chciał być dodatkowym ciężarem dla rodziny w już i tak bardzo trudnej sytuacji życiowej. Jaka była to choroba, możemy się tylko domyślać. Wszystkie dane wskazują, iż śmierć nastąpiła niedługo po przyjęciu do szpitalu w Warszawie.

¹⁷ Margaret Korzeniowska, z domu Brown (1916–2004).

Ciekawym zbiegiem okoliczności mój ojciec, Antoni Korzeniowski (Tosio z powyższych wspomnień) po dwóch wojnach światowych (w pierwszej jako oficer wojska carskiego, a w drugiej jako kapitan, później major wojska polskiego), po rosyjskiej wojnie domowej, w Armii Ochotniczej pod dowództwem Denikina, wojnie polsko-sowieckiej, po dwudziestu dziewięciu latach pobytu poza granicami Polski, czternastu latach spędzonych w swoim ukochanym domu nad Bugiem – wybudowanym jeszcze w latach trzydziestych – ostatnie lata życia spędził w domku w Otrębusach, w gminie Brwinów, w tym samym Brwinowie, w którym rodzina wynajęła pierwszy dom po przyjeździe do Polski z Ukrainy w 1920 roku.

Mając na względzie współczesnego czytelnika, zdecydowałam się na pewną redakcję powyższego tekstu, opatrując go również wyjaśniającymi przypisami dotyczącymi członków rodziny. Starłam się jednak utrzymać oryginalny styl autora, jego dobór słownictwa i sposób odzwierciedlenia tych tak bardzo ciężkich przeżyć, których doświadczył wraz z rodziną jako uchodźca z początku dwudziestego wieku.

Aniela Korzeniowska, Otrębusy, marzec 2007 roku